

23

PRZEMÓWIENIE

Marszałka Józefa Piłsudskiego

na bankiecie w hofelu „Bristol”

w dn. 3 lipca 1923.

Szanowni Panowie.

W przemówieniach, które sły-
szałem, brzmiały nuty, których
nie chcę poruszać, nuty tej natu-
ry, od której się już odzwyczai-
łem. W przeciągu pięciu lat pra-
wie spędziłem czas na pracy,
przy której swobodny nigdy nie
byłem, swobodny być nie mo-
głem, gdyż urząd, który w Polsce
pełniłem, nakładał mi zawsze na
usta pieczęć milczenia. Byłem
bowiem reprezentantem, a źle
spełnia reprezentant swoją rolę,
gdy tylko pamięta o sobie, a nie
pamięta o innych, nie pamięta o
tych, których reprezentować jest
obowiązany. Dzięki temu musiał-
em żyć w otoczeniu najrozmaits-
szych potwornych baśni, najroz-
maitszych legend, najrozmaits-
szych śmiesznych nieraz opowia-
dań, które mnie się tyczyły, któ-
re ze mnie wyrastały, a tak dale-
kie były od tego rzeczywistego
skromnego człowieka, który tu
przed Wami stoi. I jeśli dziś, w
dniu, w którym jak sobie mówię,
staję się obywatelem wolnego i
łatwego dla siebie powietrza, to
w tej chwili chcę serdecznie po-
dziękować inicjatorom dzisiejsze-
go bankietu, że w tej pierwszej,
dziewiczej, że tak powiem swo-
bodnej mowie, mogę swobodnie
niektóre zdania powiedzieć, któ-
re przedtem by wyglądały jak
zdania nieodpowiednie w ustach

człowieka, pełniącego urząd re-
prezentacyjny.

Szanowni Panowie. Pomimo
woli biegnie się do przeszłości,
mając w swem wspomnieniu pięć
lat życia, 5 lat życia przebytego
w takim wirze wypadków, w
takim chaosie zdarzeń, w takim
przewrocie dotychczasowych lu-
dzi i rzeczy, w takim dziwnem
życiu. Szuka się w „zamierzeh-
lej” przeszłości początków tego
okresu, okresu, gdy Polska po-
wstawać zaczęła. I wobec tego,
że to jest tak znacznie oddalone,
że można mówić o rzeczach pra-
wie jak o historii, i że jestem
człowiekiem, który historję lubi,
który nad historją się zastana-
wiał i który w niej nieraz szukał
rozwiązania zagadnień teraź-
niejszości i wskazówek dla przy-
szłości, więc w tej pierwszej mo-
jej mowie ztrzymam się na tych
5 latach, jak na historii. A że hi-
storją tak jakoś zdziałala, że w
przyszłym skorowidzu historyka,
który o tych latach pisać będzie,
imię moje będzie powtarzane i
cały szereg cyfr i cyferek ozna-
czać będzie stronicę, na których
imię moje jest wspomniane,
przypuszczam, że mogę zaspoko-
ić swój egoizm zupełnie natu-
ralny i o sobie z okresu tych 5
lat parę słów powiedzieć.

Moi Panowie. W listopadzie
1918 r. stał się wypadek bynaj-
mniej nie historyczny, ale taki
sobie zwykły. Mianowicie, z

dworca Wiedeńskiego, jak się to zawsze ze wszystkimi teraz dzieje, przeszedł przez ulicę Marszałkowską i t. d. na ul. Moniuszki człowiek, którego będziemy nazywali Józefem Piłsudskim. Szedł w tym mundurze, w jakim obecnie mnie Panowie widzicie. Wracał, co prawda z niezupełnie zwykłej podróży, wracał z Magdeburga. Wracali też w tym czasie z tych czy innych obozów dla internowanych i inni. I w tem też nie niema niezwykłego, w tem też nie niema historycznego. Historia zaczyna się później, historia niezwykła, nad którą nieraz się zastanawiałem w ciągu tych 5 lat i szukałem odpowiedzi na pytania, które, przypuszczam przyszłych historyków będą męczyły jeszcze bardziej wobec tego, że nie będą mieli naocznych świadków tych zdarzeń. Stała się rzecz niesłychana. Mianowicie w przeciagu kilku dni, bez żadnych ze strony tego człowieka starań, bez żadnego z jego strony gwałtu, bez żadnego podkupu, bez żadnych koncesji czy to leśnych, czy jakiegokolwiek innych, bez żadnych wogóle i jakiegokolwiek „legalnych“, że tak powiem rzeczy, stał się fakt najzupełniej niezwykły. Człowiek ten stał się dyktatorem. Wtedy, kiedy się przygotowywałem do dzisiejszego przemówienia, zastanawiałem się nad tem określeniem: „dyktator“. Nie chcę użyć jakiegoś wyszukanego słowa, nie chcę szukać dla siebie jakiejś specjalnej nazwy, szukam tylko, jako historyk, określenia zjawiska, którego inaczej nazwać nie można. Bo człowiek ten wydawał edykty, powszechnie słuchane, człowiek ten wydawał rozkazy, słuchane biernie z chęcią czy z niechęcią, ale które były wykonywane, człowiek ten mianował urzędników wojskowych i cywilnych. Czy on robił źle czy dobrze, ja w tej chwili tego nie dotykam, idzie mi o sam fakt, o fakt ścisły, o fakt historyczny. Inaczej

tego określić niemogę, jak tylko mianem dyktatora. Bo wszystko wtedy zależało od jego dobrej woli, od jego decyzji, od jego złej czy dobrej kalkulacji. Biernie czy czynnie, chętnie czy niechętnie, miliony mu ulegały, miliony jego jednego wyniosły w górę, miliony ludzi zdobyły się na akt dziwaczny, na akt niezrozumiały dla zwykłej analizy, aby tak niezwyczajną władzę dać temu człowiekowi bez żadnych z jego strony gwałtów lub narzucania. Dziś, gdy tyle jest praw i prawidełek, gdy tyle jest ograniczeń i zakazów, gdy Panowie Posłowie tak produkcyjnie pracują — rzecz ta wygląda tak niezwykle, że godna jest zatrzymania uwagi. Jestem przekonany, że i przyszły historyk nadtem właśnie będzie musiał się zatrzymać. Dlaczego, po co i na co i z jakiej racji. Dlaczego ten a nie inny? Skąd i co za przyczyna? Skąd to dziwne zjawisko, które nagle w Polsce zaistniało?

Moji Panowie. Analizując potrośze to zjawisko, nie sięgając głębiej, biorąc rzecz po ludzku, biorąc rzecz tak zwykle, jak się szklanke wody wypija, jak się myśli, jak się decyduje, nie moge nie powiedzieć, że gdyby ten osobnik nie był nikomu absolutnie znany, gdyby nagle ni stąd ni zowąd był wziętym, to ten fakt nie byłby możliwy. Czemu należy to, moi Panowie, przypisać, gdzie szukać tej przyczyny, że temu człowiekowi, znanemu potem w skorowidzu historycznym jako Józef Piłsudski, oddano tę władzę? Dlaczego jemu w sposób tak sprzeczny z rozumem, rozsądkiem, logiką teraźniejszą władzę oddano? Skąd ten dyktator Polski, nie narzucający swojej władzy żadnym gwałtem, żadną pracą agitacyjną, nie robiący sobie popularności za pomocą takich czy innych wystąpień? Skąd to zjawisko? I gdy szukałem dla siebie wyjaśnienia, zawsze znajdowałem tylko jedno: nie w tych

obrazach, które mi przyjemność sprawiały osobiście, a którymi mój przyjaciel dr. Michałowicz wywołał, lecz w czymś innym. Za jedną rzecz ten człowiek był wityany, za jedną rzecz niezwykłość jego mogła być uznana, za jedną rzecz, powtarzam, mógł on mieć prawo moralne do zajęcia tego stanowiska, za to, moi Panowie, że nosił ten mundur, za to, że był Komendantem Pierwszej Brygady (oklaski). Jedyńa wartością którą ludźcie wówczas mieli, jedyną moralną siłą, która ludzi do posłuszeństwa zmuszała, jedyną moralną siłą, która miliony ludzi w ręce mu oddawała, był fakt, że był on Komendantem Pierwszej Brygady i wracał z Magdeburga.

Szanowni Panowie. Jeśli użyję tu wyrażenia dyktator, to dlatego, że przypuszczam, że nawet niektóre z jego edyktów i dekrety jeszcze teraz działają, jeszcze teraz moc prawną mają, jeszcze teraz są ludzie, którzy muszą ulegać edyktom przez niego wydanym i podpisanym jego nazwiskiem. (Pan Bukowiecki: Tak jest). Bardzo mnie to cieszy. I mógł on tworzyć zle czy dobre rządy, wyznaczać oficerów, urzędników, przerzucać ich z miejsca na miejsce, pewnych ludzi na śmierć posyłać, dawać rozporządzenia madre lub nie — to jest obojętnem, faktem jest, że był władcą absolutnym nowotworzącego się państwa Polskiego. Faktem też jest, że dzięki temu nieprzymuszonemu zjawisku, dokonaniem bez żadnego gwałtu i bez żadnego przewrotu imię tego człowieka zostało wysunięte w górę. Nowa Polska dała słusznie czy niesłusznie przy swoim pierwszym kroku symbol swój w postaci człowieka ubranego w szary dość obszarpany mundur, zaplamiony w więzieniu magdeburskim.

Moi Panowie! Pozwólcie, iż nad tym faktem, dość ważnym, uwa-

gę waszą zatrzymam. Jest on faktem ścisłym, jest on faktem historycznym, i pomimo, iż należy do bardzo zamierzchłej przeszłości, to jednak oczy wasze ten fakt widziały, jednak świadkami jego byliście i bez względu na to, jak tam w tej czy innej redakcji, w tym czy innym gabinecie, w tej czy innej rozmowie do tego faktu odnoszono się, to jednak fakt był faktem. Zastanawiałem się trochę nad nim, jako nad zjawiskiem moralnem. Znajac historję dyktatur wszelkiego rodzaju i z operetki i nie z operetki, z dramatu i tragedji całej ludzkości, zastanawiałem się nad tem, jak się dyktatury tworzyły. Zwykle drogi są tu dwie: jedna gwałtu i narzucenia swojej władzy — te wypadki w historii narodów są częste — druga swobodnego wyboru, wyboru ludzi, którzy w chwili ciężkiej, gdy najbardziej potrzeba woli indywidualnej, gdy umysły są zatruwone, szukają jednego człowieka, żeby jemu los swój w ręce oddać. Tu nie było ani jednego, ani drugiego wypadku. Nie było ani wyboru, nie było też gwałtu. Stał się fakt całkowicie inny, fakt moralnej pracy narodu, znajdującego się coprawda, w wyjątkowej sytuacji i położeniu.

Moi Panowie! Ten fakt moralnej pracy, której dokonał w tym czasie naród, nie jest moją historją, jest historją wszystkich tych milionów ludzi, którzy wtedy tego dyktatora słuchali, którzy nawet z minami czy grymasem niechętnym, jemu się poddawali. Faktem jest, że tak było. Ta moralna praca, której dokonał wtedy wielomilionowy naród, jest faktem niezwykłym. Był on jakgdyby zaprzeczeniem tej smutnej dalekiej tradycji i tej smutnej sławy, którą naród nasz miał w przeszłości. Polska, sami polacy to twierdzili, nierządem stoi. Polska to jest prywata, Polska to jest zła wola, Polska to jest anarchja. I jeśliśmy po upadku

mieli sympatię dla siebie, to nigdy nie mieliśmy szacunku dla siebie. Nie zaufanie, a niepewność wzbudzaliśmy i stąd chęć narzucania nam opiekunów wyznaczonych dla narodu anarchji, niemocy, samowoli, dla narodu, który się do upadku doprowadził prywatą, nieznoszącą żadnej władzy. I w tym narodzie powstał fakt tak niezwykle i tak dla niego oryginalny.

Moi Panowie! Dumny jestem z tego faktu, dumny jestem nietylko dlatego, że mnie ten zaszczyt spotkał, ale dumny byłem również ze swego narodu (oklaski). Nie idzie mi, raz jeszcze powtarzam, o moją wartość lub o moją bezwartość, nie idzie mi o ocenę krytycznej tej czy innej mojej pracy, o wskazanie tego lub innego błędu lub tej czy innej enoty. Idzie o sam fakt historyczny, który swoją nowością w Polsce i swoją niezwykłością metody zastanawiać będzie musiał każdego historyka.

Przyjmując za podstawę tego faktu moją poprzednią pracę w Pierwszej Brygadzie, dumny jestem z tej mojej pracy.

Szanowni Panowie! Dyktatorem byłem kilka miesięcy. Decyzją moją głupią czy rozumną, to jest wszystko jedno, postanowiłem zwołanie Sejmu, oddanie władzy mojej w jego ręce, i stworzenie legalnej formy życia państwa Polskiego. Była to moja decyzja. Decyzja ta została usłuchana. Panowie Posłowie, którzy potem nieraz przeciw mnie występowali, zostali wybrani na mój rozkaz, tego rozkazu usłuchali, wybór przyjęli, na określony przeze mnie termin do Warszawy się stawili, wyborcy w odpowiednim miejscu, również przeze mnie wyznaczonym, zebrał się i głosy swe oddali, urzędnicy wyznaczeni przeze mnie oceniali sprawność wyborów. Wybory były nieprzymuszone, nie szukałem w nich, jak i poprzednio, mojej osoby.

Sejm się zebrał 8 lutego. Otworzyłem go, moi Panowie, w tym samym mundurze Komendanta I Brygady, przemówiłem do Sejmu w tym samym mundurze, przy boku miałem szablę ofiarowaną mi przez oficerów I Brygady, niebyłem niczem innym, jak tem, czem byłem poprzednio.

W parę tygodni potem stał się nowy fakt historyczny, nowy akt wybrania mnie jednogłośnie w Sejmie na Naczelnika Państwa Polskiego i Naczelnego Wodza wojsk, znajdujących się w tym czasie w Polsce. Ten fakt również wzbudził we mnie zastanowienie. Z jednych zaszczytów szedłem do drugich.

Po kilku miesiącach najsmielsze marzenia któregośkolwiek polaka w niewoli ziściły się we mnie. Gdyby ktokolwiek miał najsmielszą ambicję, gdyby ktokolwiek chciał władzy, gdyby ktokolwiek per fas et nefas szukać jej chciał w Polsce, to ziszczeniem tych marzeń byłoby to stanowisko, które mi wówczas dano, wbrew mojej woli i chęci, bo ja tego nie szukałem, ja się nawet targowałem, gdyż życzyłem sobie czego innego i szukałem czego innego. Szukałem woj-ska i szukałem dla siebie łatwego powietrza i łatwej pracy woj-skowej. Dano mi wszystko do rąk. Dla upiększenia mojej pracy, dla upiększenia moich wspomnień, dla honoru i zaszczytu moich dzieci, dano mi miano, które u nas dziecko, nieledwie gdy wymawiać słowa polskie zaczyna, wspomina je ze czcią — dano mi nazwisko „Naczelnika,” imię, które łączy wycisk, imię człowieka, który pomimo że umarł, żyje zawsze, wielkie imię Kościuszki. To imię Naczelnika nowo-tworzącego się państwa, Naczelnika, który w jednym ręku władzę cywilną i władzę wojskową ma piastować, któremu wyjątkowe prawa nadano, ażeby mógł w wyjątkowej sytuacji wyjątkową pracę dawać, to imię zostało

mnie ofiarowane. Znowu, moi Panowie, stwierdzam, że żadnego gwałtu, żadnej korupcji, żadnej koncesji, żadnej próby zmuszania kogokolwiek, żeby w tej chwili rękę za mną podniósł, czy głos swój za mną oddał — nie było. I znowu, Panowie, stanąłem w tym samym mundurze, w tym samym mundurze Komendanta I Brygady, nie znając żadnego innego w Polsce zaszczytu, oprócz mojej poprzedniej dyktatury.

Proszę Panów! Zaszczyty, honory, zaufanie jednoznacznie wyrażone znowu wywołały mi gdzież z zamierzchlej przeszłości wspomnienia dawne, wspomnienia przekłete, gdzie były te sejmy, które kiedyś bezdarne i krzykliwe o jednoznaczność wołały i nigdy tej jednoznaczności nie miały, gdyż jeden człowiek przez swawolę, jeden człowiek płatny szpieg, o duszy pełnej brudu, mógł pracę państwa zniweczyć. Gdzie te wspomnienia, gdzie posłowie i dygnitarze, na obcym żołdzie, w obcych kieszeniach, w obcych będący rękach, obcych słuchający rozkazów, płaszczący się jak gad przed obcymi, a tak dumni, a tak panoszący się w domu! Gdzie te wspomnienia? Pierzchły, zginęły, bo znowu był akt moralny, akt odrodzenia. Znowu jest jednoznaczność, ta niegdyś żądana, ta niegdyś wymarzona, ta niegdyś krzyczana i okrzyzczana, ta jednoznaczność w jednym akcie. Czy ktokolwiek to robił pod strachem, czy przez przyzwyczajenie, czy z powodu niemożności znalezienia innego wyjścia, czy kto robił to biernie czy czynnie — to jest wszystko jedno, fakt jest, fakt historyczny, który skupił się na mojej osobie.

Powtarzam raz jeszcze, że nie znam faktu tak dziwnego, nie znam faktu tak śmiesznego w swojej prostocie, jak ten, który jednego człowieka, tak mało znanego, tak mało odczutego, tak mało żyjącego z całym tem społec-

zeństwem — bo wśród posłów znalazłem może kilkunastu, wszyscy inni byli mi obcy ludzie, którzy mnie nie znali, którzy nie nigdy nie widzieli w mojem życiu — wynosi na to stanowiska, bez żadnego gwałtu, przymusu, bez żadnej agitacji, a nawet wbrew jego woli, gdyż tego nie szukał dając mu dobrowolnie władzę tak wybitną i tak wyjątkową.

Kazano mi wreszcie reprezentować siebie, wszystkich w Polsce nazewnątrż i wewnątrz. Jeżeli przedtem mogłem tłumaczyć zjawisko, jakimś zamąceniem, jakąś nieumiejętnością — to w tym wypadku ludzie wybrani, mający czas do namysłu, do narad, do krytyki każdego swego postanowienia — dają mi poza tem co miałem poprzednio, dają mi siłę moralną, którą każdy człowiek mieć może, gdy takim obdarzony jest zaufaniem, gdy to zaufanie w taki manifestacyjny, w taki uroczysty, w taki niezwykły sposób się wyraża. Lecz odtąd, Panowie, te piękne zaszczyty, cudne jak z bajki tysiąca i jednej nocy, odtąd historia się zmienia. Postawiono mnie tak wysoko, jak nigdy nikogo nie stawiano, postawiono mnie tak, bym cień na wszystkich rzucił, stojąc jeden w świetle.

Był cień, który biegł koło mnie, to wyprzedzał mnie, to zostawał w tyle. Cieniów takich było mnóstwo, cienie te otaczały mnie zawsze, cienie nieodstępne, chodzące krok w krok, śledzące mnie i przedrzeźniające. Czy na polu bitew, czy w spokojnej pracy w Belwederze, czy w pieszczotach dziecka — cień ten nieodstępny koło mnie ścigał mnie i przesładował. Zapluty potworny karzeł na krzywych nóżkach, wypływający swoją brudną duszę, opluwający mnie zewsząd, nie szczędzący niczego co szczerdzić trzeba — rodziny, stosunków, bliskich mi ludzi, śledzący moje kroki, robiący małpie grymasy, przekształcający każdą myśl odwrot-

nie — ten potworny karzeł pełzał za mną jak nieodłączny druh, ubrany w chorągiewki różnych typów i kolorów — to obcego, to swego państwa, krzyczący frazesy, wykrzykiwający potworną gębę, wymyślający jakieś niesłychane historie, ten karzeł był moim nieodstępnym druhem, nieodstępnym towarzyszem doli i niedoli, szczęścia i nieszczęścia, zwycięstwa i klęski. Nie sądźcie, panowie, że to jest tylko metafora, ja zacytuję tylko kilka faktów, takich potwornych, dzikich, że trudno pojąć, z jakiej kadzi nieczystości zarazić trzeba sobie wyobraźnię, by podobne rzeczy wymyśleć.

Reprezentant narodu wybrany przez wszystkich, reprezentujący wszystkich — kradnie! Zbiera się komisja Sejmowa, aby szukać skradzionych przez tego reprezentanta insygniów królewskich. Komisja Sejmowa, obradująca pod egidą czy pod kierownictwem marszałka Sejmu szuka, śledzi, bada, poszukuje skradzionych przez tego reprezentanta rzeczy! Czy Panowie coś bardziej potwornego, coś bardziej wstępnego, coś bardziej oplute go pomyśleć możecie? Czy można mieć reprezentanta tego rodzaju? Pomyślcie sobie to gdzie indziej wśród wolnych swobodnych narodów — nasz reprezentant — złodziej! Nasz reprezentant zdradza kraj w czasie wojny, umawia się z nieprzyjacielem! Naczelnny Wódz, prowadzący wojnę, jest zdrajcą. Gdzież za niego kara! Czy jest próba usunięcia go? Czy jest próba pociągnięcia go do odpowiedzialności? Czy jest próba zbroienia go odpowiedzialnym za te niebывałe zbrodnie? Niema. Idzie tylko o plucie, idzie tylko o kał wewnętrzny, którego pełna musiała być dusza, jeżeli na te rzeczy się zdobyła. Idzie o jakieś niesłychane obrzydłe zjawisko duszy ludzkiej, która w ten sposób postąpić może. Potworny karzeł wyległ z bagien rodzimych?

Bitą po pysku przez każdego z zaborców, sprzedawany z rąk do rąk, płatny. Oto ci, którzy chcą obniżyć do swego poziomu to, co zostało wzniesione wysoko.

Moi Panowie, powtarzam, nie znam, gdy nad ubiegłymi latami się zastanawiam, nie znam zjawiska bardziej stałego, bardziej metodycznie prowadzonego jak to dotykane rodzinnych stosunków, przed którymi każdy człowiek się zatrzymuje, jak to dotykane moich przyjaciół, mojego otoczenia, każdego nieledwie człowieka, który się do mnie zbliżył, brudnemi rękoma, brudną duszą, brudnemi słowami i brudnem, stęchłem powietrzem.

Nie znam, moi Panowie, zjawiska bardziej stałego, gdy przebiegam swoją historję za ubiegłe lata...

Miałem przyjaciół, którzy się zmęczyli i odeszli, miałem współpracowników z którymi źle czy dobrze współpracowałem, którzy także w ten czy inny sposób ode mnie odechodzili. Ale to paskudztwo duszy, które do mnie przylepiano, było tak nieodłączne, tak systematyczne, że gdy myślę o przeszłości, zawsze się oglądam, czy ubranie moje jeszcze nie cuchnie. A plucie to chrzczono wysokimi słowami, wysokimi hasłami. Była to praca tak zw. narodowa, praca t. zw. państwowa! Nie jest to tragizmem — dla mnie. Rzeczy takie rzadko się zdarzały na świecie, gdyż są one potworne, niemoralne, dzikie i wstępnne. Wylegać się takie zjawiska mogą tylko w bagnie niewoli, przez które narody przechodzą.

Na rzucone mi tu przez p. Anusza pytanie, który nie żegnając się ani witając z niepokojem pyta, dlaczego ten nieodłączny pracownik Państwa Polskiego, którego niegdyś na wysokie regjony wzniesiono, ozdobiony tak wielkiem imieniem i zaszczytami, dlaczego on opuszcza swoje stanowisko — odpowiem wprost:

„szanuję swoją historję, szanuję ją dla siebie, szanuję ją dla dzieci. Szanuję ją dla przyszłych historyków, którzyby także w twarz mi napluli, gdybym razem z potwornymi karłami, którzy mnie obniżyć chcieli—pracował”. Decyzja moja była bezpowrotna. Karły próbowali w ostatnim czasie zmienić swoje grymasy na uśmiech szczęścia z powodu spotkania mnie w tem czy innym miejscu. Zastanawiałem się, moi Panowie, nad swemi czynami, nad wartością mej pracy, nad tem co zrobiłem i czegom nie zrobił. Nie będę mówił i nie będę sobie przypisywał większych zasług, niż te, które mi świat przypisuje. Jeżeli mówią o mnie, że z narodem polskim rady sobie nie dałem — to przecież żadna krytyka, żadna śmiałość nie sięgnie po moje laury wojskowe. Okryłem chwałą oręż polski. Dałem w pierwszych dniach życia polskiego zwycięstwa tak błyskotliwe, tak nieznanne, tak gdzieś w zamierzchłej przeszłości słyszane, że dotąd tą sławą pierś żołnierska się koi. Doprowadziłem do zwycięstwa nad nieprzyjacielem, przed którym inni drżeli. Dlatego też zwróciłem się natychmiast, po złożeniu urzędu najwyższego, do pracy wojskowej. Zdolności, temperament, doświadczenie nabyte — dawały mi łatwość pracy, więcej, dawały mi łatwiejsze powie trze. Moi Panowie, pracę tę opuściłem, opuściłem ją zupełnie. Wniosłem dymisję i prośbę o zwolnienie z wojska. Dlaczego? Obowiązek żołnierza jest trudny. We Francji armję nazywa się grande muette — wielkim niemową. Wojsko milczeć musi i nie raz Panowie swobodnie używający języka, nie wiecie, jak ciężko nieraz bywa oficerowi i żołnierzowi w kraju gdzie tak swobodnie języki w buziach się płaczą, być tylko niemym świadkiem tego, co się dzieje, ścisnąć w sobie serca, myśl pracującą, aby się nazewnątrż nie wydobyła,

zamknąć siebie. Ostrożnie, Panowie, z tym instrumentem, ostrożnie specjalnie z językami. Żołnierze należą do kasty obywateli bez praw, wtedy, kiedy Wy pełnoprawni jesteście. Wszedłem do wojska, dając swą pracę — teraz opuszczam szeregi. Dlaczego?

W tej samej chwili, gdy Belweder, miejsce zaszczytu, miejsce honoru Polski opuściłem, wszedł tam inny człowiek, wybrany legalnie aktem uroczystym podpisanym przez Marszałka Sejmu. Oddałem mu władzę zgodnie z Konstytucją. Na moje miejsce przyszedł dla reprezentacji narodu całego, i wszedł na tę ścieżkę, którą ja potrosze przetorowałem — człowiek inny. Nie rozważałem jego zalet ani wad, nie omawiam jego wartości. Człowiek ten jak ja został wyniesiony ponad innych, dobrowolnym aktem włożono na niego obowiązek, że ma być naszym przedstawicielem, ma w pieczy mieć nasz honor, naszą godność. Ta szajka, ta banda, która czepiała się mego honoru, tu zechciała szukać krwi. Prezydent nasz zamordowany został po burdach ulicznych, obniżających wartość pracy reprezentacyjnej przez tych samych lulzi, którzy ongiś w stosunku do pierwszego reprezentanta, wolnym aktem wybranego, tyle brudu, tyle potwornej, niskiej nienawiści wykazali. Teraz spełnili zbrodnię. Mord karany przez prawo. Moi Panowie, jestem żołnierzem. Żołnierz powołany bywa do ciężkich obowiązków, nieraz sprzecznych ze swoim sumieniem, ze swoją myślą, z drogiemi uczuciami. Gdy sobie pomyślał na chwilę, że ja tych panów, jako żołnierz bronić będę — zawahałem się w swoim sumieniu. A gdy się raz zawahał, zdecydowałem, że żołnierzem być nie mogę. Podałem się do dymisji z wojska. To są, moi Panowie, przyczyny i motywy, dla których służbę państwową opuszczam.

Na zakończenie, pozwólcie mi,

Panowie, zrobić małą symbolikę. Długo czas pracowałem w gmachu na Saskim placu, gdzie przechadzając się po wielkim gabinecie, rzucałem raz po raz okiem na ciemne, szare widoki Warszawy. I zawsze widziałem jakieś dziwne rzeczy, szarą plachtę otaczającą jakąś dziwną postać. Naprzód szedł koń. Koń idący ku słońcu, przerywający parkan, za nim na czworakach pełznąca postać ludzka. Ten widok nieraz mnie śmieszy. Ten widok bawił mnie swoją oryginalną konstrukcją rzeźbiarską. Gdzież tu jest myśl, gdzież tu jest idea, gdzie tu jest praca wielkiego artysty? Wielkie konisko, przerywające parkan, za nim z głową schowaną jakby ze wstydu na czworakach człowiek. To był nasz Naczelnny Wódz w przeszłości. Wrócił do kraju, szukał serca, szukał tego, czego dawno, dawno niewidział. Naczelnny Wódz Wojsk Polskich, bo takim był Książę Józef Poniatowski. Gdzież ten piękny ułan, gdzież jest ta postać wyśpiewana, wymalowana. Gdzie ona jest? Oddano mu hołd i sztandary przed nim powiewały, grzmiały armaty. Jak nieraz w bitwach. Stał i patrzy. „Gdzie są moi następcy? Gdzie w wolnej Polsce Naczelnny Wódzowie? Gdzie są moi Koledzy? Ja zginałem ongiś w błocie. Błoto przykryło mi oczy, błoto zasłoniło wzrok. Gdzie są oni? Na mnie pierwszego padł zaszczyt być Wodzem Naczelnym Polski. Ja hufce stawiałem, ja je rzucałem w bój. Na pomniku są słowa: Honor i Ojczyzna.“ Szukasz honoru? Znajdziesz twego następcę także w błocie, w błocie rodzimym! Błotem został napojony. Taki jest los Naczelnnych Wodków Polski bez honoru. Polski, której serce drgać nie umie. Pa-

nowie, ten symbol Naczelnnych Wodków Polski — z konieczności ginących w błocie, jest historią Polski dotychczasową. Gdy patrzę na ten pomnik — mówię: „I ja idę do błota.“ Szanowni Panowie, tym symbolem chciałbym Was pożegnać. Gdzieindziej, w stosunku do reprezentantów państwa, nawet gdy są nieuczciwi, ukrywa się to, czyni się wysiłki, by na reprezentancie plamy nie było, by błyszczał jak tarcza. Gdzieindziej Wódz Naczelnny, który zwyciężył, jest czczony, spotykają go honory i zaszczyty, bo przecież on państwo wyratował, przecież on ocalił od niebezpieczeństwa wszystkich. U nas inaczej — Wódz ma iść w błoto i tylko, gdy dostatecznie błota się napije, ma być godnym Polski. Proszę Panów, przywołując Wam na pamięć te rzeczy, streszczając historię pięciu lat ubiegłych, nie chcę wcale wywołać efektu tragicznego. Chcę tylko stwierdzić, że to błoto jest i że ma ono powagę i znaczenie w Polsce. Chciałem stwierdzić, że jeżeli Polska w pierwszym okresie zdobyła się na naprawę Rzeczypospolitej, to potem powoli od naprawy do starych nararów powróć się zaczyna, i że, Panowie, wielkich wysiłków pracy trzeba, aby Polskę znowu na drogę naprawy wypchnąć. Nie oskarżam nikogo, nie jestem ani prokuratorem, ani sędzią śledczym — szukam jedynie prawdy. Co do siebie, Panowie, proszę o pamięć, proszę zarazem o wielki, wielki odpoczynek, bym mógł latwem powietrzem odechnąć, bym mógł być takim wolnym i swobodnym, jak Panowie, tak wesółym, jak byli moi koledzy z Pierwszej Brygady, którzy mi największe zaszczyty swą pracą dali.